

# Tadeusz Bolduan

---

## Pro et contra : Rzecz o kaszubszczyźnie

---

Acta Cassubiana 13, 343-349

---

2011

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach  
dozwolonego użytku.

**TADEUSZ BOLDUAN**

**PRO ET CONTRA**

Zeszyt 1

Gdańsk 1960

Pisane w lutym – maju 1960 do szuflady

**PRO ET CONTRA**  
**Rzecz o kaszubszczyźnie**

Nie jest to pamiętnik, nie są to wspomnienia, ani notatki z „mojej drogi kaszubskiej”. Po prostu refleksje na temat regionalizmu i ludzi z nim związanych w różny sposób. Służą mi do spisywania tych uwag notatki robione w różnych miejscach na gorąco, obserwacje reporterskie, a przede wszystkim obserwowane reakcje czytelników na poszczególne artykuły w piśmie. Z grymasów twarzy, sposobu zachowania często łatwo odgadywałem, co myślą o piśmie, o ruchu kaszubskim, o ludziach, czyli o nas – w tym ruchu siedzących i kształtujących go.

Wiele słów będzie w tym notatniku (czy jak tę pisaninę nazwać) o ludziach czołowych, jak Szczęsny, Arendt, Bądkowski, Roppel, Marszałkowski i wreszcie o sobie. Od siebie zaczynam, chcę przekazać swoje myśli, swoje stanowisko wobec kwestii kaszubskiej. Po to tylko, by za kilka lat zajrzeć do tych notatek i sprawdzić, czy jestem szmatą zawieszoną na płocie, bezużyteczną, czy też zdołałem ukształtować trwały pogląd na kwestię kaszubską, czy droga, jaką obrałem, była słuszna.

Nic mnie nie obchodzi styl, ani nawet gramatyka – piszę dla siebie, do szuflady, jak lecą czcionki maszyny. Byle szybko wypowiedzieć, co czuję, czego pragnę. Będą w tych notatkach przerwy, bo zamierzam je pisać dorywczo, kiedy będę miał ochotę i czas. I chociaż uważają mnie za pedanta, zwłaszcza w sprawach papierkowych (nie w ubiorze), to jednak jestem chaotyczny i bałaganiarzem. Trudno sprzeciwić się naturze. Pozostawmy więc jej wolność, bowiem tylko ona jedna jest niezależna od zdarzeń dwudziestego wieku.

Regionalizm. Tym terminem określamy na zewnątrz ruch kaszubski. Strawniejszy to termin, zwłaszcza dla zdecydowanych wrogów kaszubszczyzny, którymi jesteśmy otoczeni zewsząd. Niechaj więc będzie regionalizm, uznajmy jednak jego głębszą treść, wychodzącą poza ramy folkloru i ludowej literatury.

Na regionalizm kaszubski różne są poglądy. Uważam, że pod tym określeniem kryje się cały zespół funkcji: polityczna, gospodarcza, kulturalna, oświatowa. Nie jest więc regionalizm ruchem wyłącznie kulturalnym, nie może nim być, skoro dotyczy wydarzeń na pewnym określonym etnicznie terytorium, a ludzie to terytorium zamieszkujący mają dążenia i pragnienia szersze niż kulturalne. Regionalizm określony terytorialnie, a sumujący niejako wartości tego terytorium i jego ludzi, musi spełniać funkcje polityczne, chociaż nie wszechstronne.

Ruch regionalny, istniejący w obrębie określonego państwa, nie może przerastać w separatyzm. W przypadku kaszubskim takiego przerostu nie obserwujemy, wyłączając niepoważne wybryki młodych wówczas zrzeszyców – do której jeszcze wrócę – nie były one działalnością separatystyczną w pojęciu politycznym.

O regionalizmie jako ruchu politycznym mówimy wtedy, gdy określamy jego funkcje administracyjne. Wychodząc z założenia, że na Kaszubach przechowują się swoiste cechy odrębne pozostałym regionom, należy wszelkimi siłami budzić świadomość odrębnych cech społeczeństwa kaszubskiego i poszanowanie tych cech, bowiem zróżnicowanie regionalne stanowi koloryt państwa, świadczy o jego bogactwie kulturalnym. Odrębne cechy Kaszubów nie stanowią bynajmniej o odrębności narodowej. Pojęcie naród a społeczeństwo regionalne – to dwa różne pojęcia, w których absolutnie nie orientują się kierownicy partii w województwie, a cóż dopiero mówić o takich ludziach wykształconych na frazesach jak Wojtkiewiczowa w Kartuzach czy Turzyński w Kościerzynie.

Wypada tutaj jeszcze raz podkreślić, że zachowanie swoistych cech charakteru, cech etnograficznych, przyrodniczych i innych jest krynicą oryginalnych myśli, soczystych pomysłów, jest barwą narodowej kultury.

Nie jestem przeciwnikiem budowania jednolitego społeczeństwa – jak to się nazywa w języku propagandzistów. Ale jednolite społeczeństwo nie może być kosmopolityczne, musi się opierać na określonych źródłach kulturotwórczych. Na jakich źródłach kulturowych ma się opierać jednolite społeczeństwo gdańsko-pomorskie? Szafruje się terminem kultury ogólnonarodowej. Bzdura! Czym jest twórczość Mickiewicza? Wileńskim regionalizmem. Żeromski? Regionalizm kielecki. Wankowicz? Znowu Wileńszczyzna. Orkan, Witkiewicz, Tetmajer? To Podhale. Brandysi? Czuć Warszawą i to kiepską. Gdzie więc szukać źródeł literatury ogólnonarodowej? Ależ oczywiście w regionalizmie. Żąda się od nas, byśmy rozkoszowali się wileńskimi zajazdami i urokiem gór, byśmy poznawali Janosików i warszawskie prostytutki, dlaczego więc w pierwszym rządzie nie mamy poznać naszych kaszubskich rybaków? Skoro w szkołach zaleca się *Na skalnym Podhalu*, czemu nie mamy żądać wprowadzenia do literatury szkolnej *Remusa*?

Współcześnie przyjęła się moda nazywania literaturą ogólnopolską plody warszawsko-krakowskich literatów. Bóg wam zapłać, panowie, za ten ogólnopolski dorobek.

Ogólnopolskie, to znaczy i kaszubskie. A więc i kaszubszczyzna wzbogaca kulturę ogólnonarodową. Wartość? Oczywiście jest ona różna, ale obok faktycznej wartości decydują o dorobku kulturalnym kliki. Klęska klik i koterii w naszym narodzie – to osobny temat rozważań.

Kwestia mowy kaszubskiej. Uznaję jej odrębne cechy, wyjątkowe w naszym państwie. Ale – tak uważam – mowa kaszubska zbliżyła się znacznie do języka polskiego i trudno mówić o jej pełnej odrębności. Zresztą tą kwestią zajęli się wystarczająco naukowcy. Życzyć tylko wypada, by nasze przemądre władze zechciały z dorobkiem naukowców się zapoznać, a nie szafować pustymi sloganami.

Kiedyś na zebraniu Rady Naczelnej Zrzeszenia Kaszubskiego I sekretarz KW PZPR z pianą na ustach pouczał, że kaszubszczyzna jest tylko gwarą języka polskiego (kompletny laik w tej dziedzinie i w innych także). A gdy mówcy wystąpili po kaszubsku – pienił się Machno, że nie rozumie, że żąda by mówiono po polsku. W jednej chwili zaprzeczył swoim słowom. Wykorzystali to Rompski i Kreft i najzupełniej słusznie dali inteligentną, ale ciętą odprawę tow. Machno. Bo jakże, skoro kaszubszczyzna jest mową polską, to czy można jej nie zrozumieć?

Gdy tak słucham „rdzennych” Polaków z terenów wschodnich i północno-wschodnich, to serce się kraje. Nie wiadomo, czy mówią po rosyjsku, czy ohydnie wypaczoną polszczyzną. W porównaniu do ich żargonu nasza kaszubszczyzna brzmi starożytnością słowiańską, zawiera w sobie jakiś urok minionych wieków.

Inteligentni, wykształceni niejednokrotnie ludzie ze „wschodu” nie potrafią skleić jednego zdania poprawnie po polsku. Zaciągają jak przekupki na jarmarku. I nikt nie mówi, że mają trudności z językiem polskim. Bo są panami, bo niosą na Kaszuby polską kulturę.

Polska kultura? Tak. Tylko że my ją mamy we krwi, jest ona naszą własnością. Częścią tej kultury jest właśnie kaszubszczyzna. Kto tego nie rozumie i przeciwdziała rozwojowi kultury kaszubskiej, jest separatystą, bo izoluje nieznaną mu wartość, bo rozbija kulturę narodową.

Rzecz polega nie na naszej kaszubskiej mowie i na naszej regionalnej kulturze. Sprowadza się całe zagadnienie – przed wojną i obecnie – do ohydnej prywaty, do kolonizacji Kaszub. Stworzenie mitu o kaszubskim separatyzmie było potrzebne do zwalczania Kaszubów, do utracania ich ze stanowisk w administracji i innych instytucjach. Szermowanie pochodem kultury polskiej na Kaszuby było tworzeniem atmosfery dzikości Kaszubów, których trzeba okrzesać. Stąd zarzuty pangermańskie, stąd teorie o niepewności miejscowych ludzi. Wszystko, co nosi miano kaszubszczyzny, jest w pogardzie – jawnej lub ukrytej. Tu i ówdzie daje się słyszeć, co przybysze na nasze tereny sądzą o Kaszubach. A wszystkie teorie pisane są na wodzie, są płodami głupiej wyobraźni nieuków i ludzi nędznych.

W naszych władzach politycznych, w administracji – wszędzie (obok ludzi mądrych) znajdujemy złe duchy. Takim złym duchem, beznadziejnie głupim jest w KW ob. Lech Szydłowski. Człowiek o dwóch twarzach – jednej dla instancji partyjnej, drugiej dla nas. Uważa się on za znawcę spraw kaszubskich (prawdopodobnie przeczytał *Regionalizm kaszubski* dr. Bukowskiego) i feruje wyroki na całego. A ludzie określonych instytucji go słuchają i będą słuchać każdego, kto o ruchu kaszubskim wyraża się najgorzej.

Ocena „Kaszëb” dokonana przez Szydłowskiego i Rosadzińskiego z cenzury – w duchu skrajnej nienawiści do kaszubszczyzny – pobudza śmiech oryginalnymi sformułowaniami, klóącymi się z logiką i zdrowym rozsądkiem. Ale ci panowie uważali, że dokonali dzieła na miarę epoki. I musiałem tego dzieła słuchać kilkakrotnie – na „opearach” w KW i na zebraniach w Zrzeszeniu, na które ten kulawy Hefajstos przybywał. Dziwię się tylko, że tego typu ludzie pracują w tak poważnej i wysokiej placówce politycznej.

Jestem przekonany, że ruch kaszubski szybciej zlewałby się z prądami kulturalnymi i politycznymi w kraju, gdyby miał pełną swobodę rozwoju, gdybyśmy byli otoczeni ludźmi mądrymi, rozumnymi, po prostu gdyby ci, którzy zawiadują województwem, wyzbyli się prywaty i rzeczywiście kierowali się względami dobra narodowego. Widząc fałsz i obłudę – zamykamy się w sobie, bronimy się przed przyjęciem moralności przybyszów.

Jesteśmy mieszkańcami tej ziemi z dziada pradziada, ale nie jesteśmy jej gospodarzami. Wydarto nam inicjatywę, a gdy chcemy ją na powrót przejąć – strzela się do nas jadem separatyzmu. Kaszuby nie są dla Kaszubów – wołają i przejmują warendę naszą ziemię. Ale gdybyśmy zaczęli wołać, że Kaszuby nie są dla przybyszów – zostalibyśmy natychmiast utraceni. Kaszuby są dla wszystkich – takie jest moje zdanie, ale w pojęciu przybyszów „wszyscy” – to tylko oni. Stąd nie tylko niedopuszczanie Kaszubów do odpowiedzialnych stanowisk, ale i niedopuszczanie Pomorzan. Bo wiedzą, że Kaszubi i Pomorzanie przeszli najlepszą lekcję patriotyzmu w latach niewoli, że są zahartowani w walce, w każdej walce z każdym, ze swoimi walorami administracyjnymi, swoim stosunkiem do ludzi, znajomością psychiki Kaszubów – Pomorzan, znajomością ziemi – udowodniliby, jak można i trzeba mądrze gospodarować. Lęk przed ukrytymi możliwościami Pomorzan – Kaszubów, przed ich prostolinijnością jest wielki, ze szkodą dla całości interesów państwowych.

Nędzne są chwytły przedstawicieli władz w województwie. Do swoich wyimaginowanych celów dążyli wszelkimi drogami, czasami równającymi się łajdactwu.

Jako redaktor „Kaszëb” zapoznałem się z poszczególnymi numerami „Zrzeszy Kaszëbskiej” – zwykłymi i skonfiskowanymi. Poznałem ideologię zrzeszistów i odwróciłem się do niej plecami. Nikt nie jest zdolny wydrzeć mi ducha polskiego. Za Polskę walczył mój dziadek, rodowity Słowiniec i uchodził przed germanizacją na Kaszuby właściwe. Za Polskę oddał życie mój ojciec, za Polskę cierpiała moja matka i legła w grobie znękana goryczą okupacji. Z domu wyniosłem przede

wszystkim wychowanie polskie, działalność mego ojca – czy to w Organizacji Wojskowej Pomorza, czy też w służbie administracji państwowej była i jest wzorem uczciwości i szkołą patriotyzmu. Wspominam o tych sprawach, żeby znowu jakiś półgłówek nie posądzał mnie o pangermanizm, względnie o holdowanie ideom zrzeszinców. Bowiem każdy akt pachnący niemczyzną wzbudza moją nienawiść i pogardę. I chociaż nie można posądzać zrzeszinców o zbliżanie się do Niemców – wielu z nich cierpiało w obozach koncentracyjnych – to jednak wypadek z Labudą nie może wzbudzać sympatii. I pewne kroki z przedwojenną „Zrzeszą”, nawet jeśli były to wybryki młodzieńcze, nie zasługują na pochwałę.

Jestem zdecydowanym przeciwnikiem zrzeszinców, chociaż rozumiem pobudki, jakimi się kierowali i uznaję ich młody wiek (sam bowiem nie jestem starszym), który tak mocno zaważył na ukształtowaniu się ich idei. Na ten temat obszernie rozwoździłem się w „Kaszëbach” w artykule *Koniec pewnego mitu*. Niczego z tego artykułu nie odwołuję, nie napisałem go – jak niektórzy sądzą – z polecenia władz politycznych, natomiast artykuł ten skreśliłem zupełnie świadomie, aby dać wyraz poglądom redakcji i odciąć się od partykularnych zapatrywań grupy maniaków z nieba.

Zgadzam się, że odrodzenie Kaszub jest środkiem do odrodzenia Pomorza. Ale to założenie nie może być realizowane według zasady „Kaszuby dla Kaszubów”, którą wypowiedział rozgoryczony Majkowski, a podjęli ją jako jego testament zrzeszincy. Testamentem Majkowskiego jest jego życie i praca dla Kaszub.

Usiłując określić stosunek „Kaszëb” do zrzeszinców, zdawałem sobie sprawę, że ostatecznie kontakt z nimi zostanie zerwany. Mnie, jako redaktorowi nie zależało na nich, tym bardziej, że nie mieli oni wzięcia w społeczeństwie kaszubskim, zresztą w swojej masie nieorientującym się w ich założeniach programowych. Jeżeli znajdowali czasami uznanie, to tylko ze względu na kaszubskie teksty religijne, a przede wszystkim ze względu na Guczov Macka, robionego przez Labudę i Rompskiego.

Zamierzałem iść własną drogą ideową, tworzyć środowisko wokół pisma przez założenie klubu „Pomorania”, środowisko regionalne, ale w szerszym pojęciu, z ujęciem na całe Pomorze – od Szczecina po Wisłę.

Nie udało się. Już na początku tworzenia środowiska kaszubsko-pomorskiego, zresztą udanym, trzeba było rozpocząć walkę na kilku frontach. Z jednej strony trzeba było walczyć z częścią elementu napływowego, z nienawiścią odnoszącego się do pisma, trzeba było przekonać władze o naszej słusznej drodze, z drugiej strony musieliśmy baczyć na zrzeszinców, którzy polowali na pismo i redakcję, i wytwarzali mit o „wtyczkach partyjnych”. Mieliśmy też przeciwko sobie kulturową małomiasteczkową, aparat partyjny miast powiatowych, któremu nie podobało się wyciąganie brudów na terenach im podległych. Rezerwowy wobec nas w tym czasie stosunek Arendta i nieobojętny stosunek Bądkowskiego. W rezultacie przyjaciół nie mieliśmy nigdzie.

W takiej sytuacji, wzywany niemal codziennie do KW, pewnego razu usłyszałem od Szydłowskiego, a następnie Machny, takie słowa:

– Towarzyszu Bolduan, od was odwrócili się wszyscy Kaszubi. Jesteście sami... itd.

O nie. Trzeba było na gwałt montować sztuczną oczywiście jedność, bo przejrzałem, że nasze dobre intencje zostały przez towarzyszy z KW wykorzystane przeciwko nam i Kaszubom w ogóle. W takiej sytuacji już na gwiazdkę udało mi się zmontować w piśmie dwie kolumny całkowicie kaszubskie, na których pisali: Marszałkowski, Rompski, Bieszk, Grucza, Trepczyk, Kamiński.

Krótko po nowym roku w KW usłyszałem słowa:

– Dlaczego zamieszczacie Rompskiego i innych?

– Żebyście zrozumieli – odpowiedziałem – że Kaszubi od nas się nie odwrócili.

O szczerych rozmowach w KW nie ma mowy. Chociaż jestem członkiem partii, z towarzyszami w Gdańsku szczerze rozmawiać nie będę, bo są to dwulicowcy, obłudnicy, którzy przy każdej nadarzającej się okazji wykorzystają szczerze zwierzenia przeciwko zwierzającemu się. Dlatego koniec ze szczerością, niech żyje lawirantwo!

Od kiedy lawiruję? Chyba od słynnej rozmowy w 1957 roku, gdy Machno wściekał się na mój artykuł pt. *Sprawy Kaszubów*. Wtedy dopiero zrozumiałem, jakie ubóstwo myślowe cechuje tego człowieka, że jest on zwykłym cholerykiem.

Moje myśli, moja idea kaszubska, moja praca może służyć tylko Polsce. Ponieważ jednak nie pojmują tego inni, więc nie dyskutuję obszerniej na te tematy, a wszelkie dyskusje w KW są tylko przyczynkami, na podstawie których moich poglądów nie rozszyfrują. I tak już musi być, skoro pożyteczne rzeczy wpisano na indeks. Może nadejdzie czas, kiedy otwarcie będzie można mówić o prawdach znanych, ale chwilowo zakazanych? Może samo życie nauczy ludzi rozumować realnie? Może frazes ustąpi faktowi? Utopia... Bo ludzie nieprędko się zmieniają, zwłaszcza ci, którzy na celu jedynie mają siebie i swoją fortunę.

Są chwile wahań i rozczarowań. Nie jest jednak sztuką zwyciężać. Ponosić klęski i dalej walczyć – oto sztuka!

Każdy z nas, działaczy kaszubskich, w walkach o dobro Kaszub niczego dla siebie nie zdobywa, poza nienawiścią otoczenia. Ale każdy ryzykuje coś więcej niż swoje stanowisko. Piękna to zaleta, zwłaszcza u ludzi starszych, którzy staczają boje o kaszubszczyznę od wielu lat, ponosili klęski i dzisiaj dalej walczą, tracąc zdrowie, tracąc normalne życie rodzinne. Dla nich jestem pełen podziwu, niezależnie od ich poglądów i stanowiska wobec kaszubszczyzny. Myślę o Rompskim, chociaż w najmniejszym stopniu, bo jego działalność dotyczy wąskiego kręgu spraw i ludzi. Myślę o nieocenionym bałaganiarzu i formalistcie Arendcie. Nie stawiam mu zarzutów, chociaż zebrania Zrzeszenia pod jego przewodnictwem są nudne jak flaki w oleju. Można znieść te zebrania, gdy się odczuwa jego olbrzymi trud społeczny, gdy się zważy, ile spraw i sprawek ma na swojej głowie, ile rzeczy załatwia z pożytkiem dla nas wszystkich. Zrzeszenie właśnie pod jego

przewodnictwem rozwinęło się wspaniale, jest głośnie, czuć je wszędzie. Roppel, to inna kategoria działaczy, Bądkowski – słup betonowy. Szczęsny – o nim później. Komkowski – co najwyżej reprezentant, raz twardy, raz miękki. Obecnie niezbyt zaangażowany.

Laurki? Nie. Po prostu trochę wytchnienia. Bo piszę dla siebie, a gdy będę wracał do notatek, to znaczy czytał je, nie chciałbym zbyt mocno ziewać. Wystarczy ziewania na wszystkich niezliczonych zebraniach i spotkaniach.

Jaką ma przyszłość Zrzeszenie? Myślę, że żadnej, w każdym bądź razie w najbliższych kilku latach. Nie o przyszłość organizacji jednak chodzi, lecz o przyszłość kaszubszczyzny. A każdy rok istnienia Zrzeszenia, nawet gdyby ono spalo i tylko od czasu do czasu dawało o sobie znać, ma ogromne znaczenie. Fakt ten przedłuża kaszubszczyznę żywotną o grube dziesiątki lat. Tak samo pismo. Wypuszczanie kilkudziesięciu numerów pozostanie faktem zakorzenionym w pamięci, a to wiele znaczy. I pozostaną numery w domach i checzach.

Dzisiaj rzecz polega nie na beznamiętnych lub nawet namiętnych dyskusjach, jak pisać: o czy ô, e czy ě. Chodzi o wychowanie jak największych ilości działaczy, o tworzenie własnej inteligencji, o powiew nowego na wieś. Od naszej zamożności, inicjatywy, od ilości ofiarnych działaczy zależy, czy Kaszubi swoje sprawy przejmą w swoje ręce.

Te sprawy nie są przez Zrzeszenie „rozpracowane” i dlatego nie potrafimy z nimi wychodzić do ludzi. Nie o władze chodzi, te są mi zupełnie obojętne, bowiem zapach biurokracji przyprawia mnie o zawroty głowy. A śmierdzi tą biurokacją na każdym kroku. Chodzi o rzeczywistość, do której nie mamy stosunku (nie mylić z ogólną rzeczywistością polityczną). Nie potrafimy elastycznie wpręgać się w bieg wydarzeń, w ogólny postęp. Stąd często wodzą nas za nosy, stąd tak łatwo zabijają nas zwykłą plotką. Chodzą po ludziach plotki o Arendcie, którego ponoć szwagrem był zdrajca Kaszubowski. My możemy tylko z politowaniem kiwać głową na takie bzdury, ale plotkę niesie. Albo sprawa procesu Hilara. Usiłowanie wplątania do tej sprawy Arendta czyż nie jest potwornością? Jego, partyzanta, więźnia Sztutowa chciano by zrobić – delikatnie mówiąc – zwolennikiem rewizjonizmu...

Rachunki krzywd narastają. Narasta i nasza nienawiść do siewców paniki i plotki. Burzą się nasze umysły i serca, bo nie jesteśmy przyzwyczajeni do nędznych chwytów i kreciej roboty. Na razie pozostaje jednak tylko protest wewnętrzny, czasami tylko uzewnętrzniany i to w części. Niech i tak będzie, dopóki nie zaczniemy mówić. Głośno i otwarcie, wobec partii, której jesteśmy członkami i w którą wierzymy – przeciw niektórym funkcjonariuszom partyjnym i administracyjnym. Przeciw kłamstwu.